

Magdalena Boczkowska
Wyższa Szkoła Humanitas w Sosnowcu

Proza Katarzyny Tubylewicz

W roku 2013, po przyznaniu Literackiej Nagrody Nike Joannie Bator, Małgorzata Kalicińska napisała na swoim blogu, że

od kilku lat nagrody są przyznawane niemal wyłącznie za rzeczy mroczne, smutne, depresyjne, za bohaterów ułomnych, zgnojonych tak, że nic tylko wyć. Po takich lekturach to właśnie nic tylko iść do pobliskiego GS-u, kupić sznur i obwiesić się skoro to życie jest takie zasrane! Oczywiście jako ktoś, kto zajmuje się pisaniem, wiem, że z „...żyli długo i szczęśliwie” nie uczyni się nominanta do nagrody, że powieść, opowiadanie, powinno wciągnąć, malować w jaźni barwne obrazy ale... obawiam się, że ktoś kto pisze o tym, że może być pięknie, dobrze, mądrze, serdecznie, ciepło, (oczywiście w życiowej przepłotce z dramatem dużym, małym, z tragedią czy choćby problemem) popełnia grzech współczesny, bo krytycy z mety napiszą, że to oderwane od życia, wysłodzone i zacukrzone¹,

przyznając jednocześnie, że przeczytała tylko streszczenia nominowanych książek, a nie same powieści (sic!). Oczywiście wpis ten zapoczątkował dyskusję, do której na łamach „Gazety Wyborczej” włączył się Ignacy Karpowicz:

Pisarka stwierdza, że jurorzy przypominają dementorów z *Harry'ego Pottera*: każdy promień słońca, dobra, piękna ich razi. Zaryzykuję tezę, że jurorów porażają inne rzeczy. Nieudolność warsztatowa, brak kompozycji i pomysłu fabularnego (ach, te przepłotki!), schematyczność (feminizm nie polega na zdradzaniu męża), lenistwo intelektualne, stek banałów i klisz, psychologia sprowadzona do poziomu poradnika i tak dalej, i tak dalej. [...] Nie czas wchodzić w rozważania o literaturze pięknej/wysokiej i popularnej/niskiej, o ile w ogóle ten podział jeszcze zachował jakikolwiek sens. Można za to przyjąć, że istnieje literatura, która nie przejawia większych ambicji, nie rości sobie prawa do opisywania świata, do pokazywania czegoś istotnego, do „prawdy”, z promieni słońca zaś korzysta oficie, jakby ciągle lipiec trwał, a piękno i dobro, malinowa herbata z babcią to takie cacanki głaski poprawiające humor. Literatura taka służy rozrywce, relaksowi. I tym zajmuje się Kalicińska. I w porządku².

Kalicińska oczywiście odpowiedziała, odchodząc od merytorycznej dyskusji w kierunku inwektyw w stylu: „przeczytałam pańskie *Gesty* – smęt.

¹ M. Kalicińska, *Nagrody za ciemne okulary*, <http://kalicinska.blogspot.com/2013/10/nike.html> (dostęp: 10.2014).

² I. Karpowicz, *Dlaczego Kalicińska nie ma racji?*, http://wyborcza.pl/1,76842,14832227,Dlaczego_Kalicinska_nie_ma_racji__Karpowicz_komentuje.html (dostęp: 24.10.2014).

Kolejny marny facecik z pępowiną u mamusi, i po lichu mam się zamećzać czytając o kolejnych jego klonach w literaturze polskiej współczesnej?”³. Dyskusja dotyczyła zatem przede wszystkim różnic pomiędzy literaturą – by posłużyć się nomenklaturą stosowaną przez Kalicińską i Karpowicza – „o ciemnych stronach egzystencji” a taką o „kwiatkach i wodzie”. Należałoby zatem zapytać, czy nie ma już nic pośrodku?

Tak zwana proza środka początkowo była literaturą „ambitną, ale w granicach przyzwoitości, żeby czytelnik się nie wystraszył”⁴. Dariusz Nowacki twierdził na łamach „Frazy”:

Oto w obszar wysokoartystyczny wkraczają raz po raz teksty poprawnie napisane, wyróżniające się atrakcyjną tematyką, mogącą zainteresować szersze kręgi czytelnicze, a przy tym są to narracje od początku do końca konwencjonalne, nastawione na pełne porozumienie z odbiorcą, słowem – szlachetne i w swojej klasie zupełnie niezłe czytała⁵.

Krzysztof Uniłowski pisał natomiast:

„proza środka” apelowała do utrwalonego w szerokiej świadomości społecznej wyobrażenia pisarstwa najwyższych lotów, jego poetyki, problematyki, wreszcie – roli literatury oraz twórcy. Dlatego można powiedzieć, że jej konwencje określał utrwalony wśród odbiorców stereotyp literatury nowoczesnej.

Ważna dla tożsamości „prozy środka” była również jej relacja do literatury popularnej *sensu stricto*⁶.

Za najlepszą przedstawicielkę „nowego gatunku” krytycy uznali Olgę Tokarczuk, a zwłaszcza jej wydaną w roku 1996 prozę *Prawiek i inne czasy*, w której to schlebiała czytelniczym gustom i tradycyjnej formie powieści, lekko ujmując modną problematykę. Temat prozy środka z końcem lat dziewięćdziesiątych i początkiem XXI wieku nieco przycichł, nie mieliśmy ciekawych przejawów gatunku, jak pisała Kaja Malanowska: „polska twórczość cierpi na chorobliwą pogardę w stosunku do wszelkich przejawów konwencji oraz dotkliwy brak powieści środka. Ta ziejąca pustką dziura wywiera poważny wpływ na całość współczesnej polskiej literatury”⁷. Ostatnio temat powrócił. Czyżbyśmy dostali nową przedstawicielkę polskiej prozy, która wypełniła w końcu brakującą lukę?

Katarzyna Tubylewicz – współautorka antologii opowiadań *Jestem mamą – zbiór prawdziwych historii o macierzyństwie* – w 2005 roku zadebiutowała samodzielną powieścią. We *Własnych miejscach*, bo o nich mowa, porusza dwa zasadnicze wątki, które znakomicie wpisują się w cią-

³ M. Kalicińska, *Mistrz cietej riposty, szanowny Panie Ignacy*, <http://kalicinska.blogspot.com/2013/10/mistrz-cietej-riposty-szanowny-panie.html> (dostęp: 24.10.2014).

⁴ W. Bonowicz, A. Wiedemann, *Ja z jednej strony i ja z drugiej strony Erny Eltzner*, „Nowy Nurt” 1995, nr 23.

⁵ D. Nowacki, *Dziurawa siatka na motyle. Wokół prozy autorów urodzonych po roku 1960*, „Fraza” 1996, nr 11–12, s. 128.

⁶ K. Uniłowski, „Proza środka”, czyli stereotyp literatury nowoczesnej [w:] tegoż, *Granice nowoczesności. Proza polska i wyczerpanie modernizmu*, Katowice 2006, s. 161–162.

⁷ K. Malanowska, *Literackie ksenofobie*, <http://www.krytykapolityczna.pl/felietony/20131210/literackie-ksenofobie-o> (dostęp: 10.12.2013).

gle obowiązującą literacką modę (a może należałoby powiedzieć lepiej – czytelnicze zapotrzebowanie), a mianowicie: nostalgię za ojczyzną oraz poszukiwanie tak zwanej miłości idealnej, wymarzonej, jedynej.

Polska literatura emigracyjna dosyć obszernie zajmowała się problemem wyjazdu z kraju, poczuciem wyobcowania w nowym miejscu i tęsknotą za ojczyzną. Bohaterowie, wyjeżdżając jednak nie z własnej woli, najczęściej uciekali przed reżimem i konsekwencjami niezgody na panujące prawa. Dlatego w innym miejscu czuli się „nie u siebie”, zawsze obcy, wyalienowani, wzbudzali powszechne zainteresowanie, podejrzenie, współczucie. Ale co z człowiekiem, który nie musi uciekać? Który decyduje się na wyjazd z własnej woli, nie w pogoni za chlebem czy pracą, ale w pogoni za marzeniami o miłości na całe życie? Taka jest właśnie jedna z bohaterek powieści, Marianna. Jej historię poznajemy z perspektywy czasu, dzięki prowadzonym przez nią *Zapiskom szwedzkim*, które po śmierci kobiety odnalazł jej syn. Paweł zaczyna uświadamiać sobie poświęcenie ze strony matki, która dla męża – Szweda Jona – opuściła rodzinny kraj, pozabiając się tego, co można by nazwać „własnym miejscem pod słońcem”. Początkowe problemy z językiem, obyczajami, poczuciem wyobcowania nie znikły przez całe życie. Wprost przeciwnie, utrwaliły się, pogłębiły, mimo że Marianna wiedziała, że są tylko wynikiem (jak sama twierdziła) typowo polskiej, mocno zakompleksionej i schizofrenicznej megalomanii. Jediną rzeczą, która jeszcze podtrzymywała ją na duchu, była miłość męża i syna. Dzięki nim nie poddawała się, starając się zachować w sobie odrobinę „polskości” – chodziła do polskiego kościoła, celebrowała polskie święta, nalegała, by synowi dać polskie imię, mimo że w Szwecji jest ono niezrozumiałe. Prowadząc swój nietypowy dziennik, bohaterka doszła do ważnych wniosków. Po pierwsze, o kobietach takich jak ona nie pisze się wierszy, nie stają się bohaterkami powieści, z góry skazane są na zapomnienie, jakby ich emigracja nie była bolesna, bo dobrowolna. Po drugie, co trąci nieco banałem rodem z dziewiętnastowiecznych powieści dla pań, domem nie jest miejsce, w którym mieszkamy, ale ludzie, których kochamy. Przed śmiercią Marianna pisze, że jej domem nie jest już ani Polska, ani Szwecja, lecz serca Jona i Pawła, dlatego to do nich właśnie kieruje swoje zapiski.

Drugim wątkiem poruszonym we *Własnych miejscach* jest – jakkolwiek znowu banalnie to brzmi – miłość. Wszyscy jej potrzebują, wszyscy o niej marzą, ale autorka zdaje się mówić, że mimo iż mit „miłości aż po grób” został już skomercjalizowany jak wszystko inne, w świecie XXI wieku taka miłość ciągle może się przydarzyć, tyle tylko, że nie zależy to od człowieka, a od przeznaczenia. Paweł, który mieszka z kobietą „wrażliwą, zakochaną, inteligentną i seksowną. I tej właśnie kobiety nie jest w stanie pokochać”⁸, myśli, że miłości nie ma, jest seks, przyzwyczajaje-

⁸ K. Tubylewicz, *Własne miejsca*, Warszawa 2005, s. 31. Wszystkie cytaty na podstawie tego wydania, po skrócie W podaję numer strony bezpośrednio w tekście.

nie, rutyna codzienności i wygoda. Jednakże podświadomie za miłością tęskni, opierając się głównie na wyniesionym z domu wzorcu idealnego małżeństwa rodziców. Uwikłany jest w związek z Anią, którego błędem było przede wszystkim poczucie, że powinien z nią być, ponieważ kobieta była dziewczyną, a – jak wierzy Paweł – „w tej sytuacji mężczyźni nie pozostaje nic innego, jak stanąć na wysokości zadania i chociaż na chwilę przeobrazić się w kogoś, kto umie zakochać się od pierwszego wejrzenia” (W, s. 29–30). Druga bohaterka *Własnych miejsc*, Dominika, też sądzi, że prawdziwa miłość jest nie dla niej, że się zdarza, ale innym ludziom. Po nieudanej próbie stworzenia związku z ojcem swojego syna mówi o sobie, że należy do grupy tych stęsknionych kobiet, które „są w stanie zakochać się w pilocie przelatującego samolotu lub w kiju od szczotki. Ja też zakochałam się raz w tym, raz w tamtym, bez sensu, bez powodu, bez wzajemności” (W, s. 37). Miłość „bez sensu i bez powodu”, ale i ciągła wiara w przeznaczenie i drugą idealnie dopasowaną połówkę jabłka czy pomarańczy. Przeznaczenie dopada także Pawła i Dominikę.

Czy pięć spotkań (o ile w ogóle można nazwać je spotkaniami) wystarczy, by zakochać się na całe życie? Tak – mówi nam autorka *Własnych miejsc*. „Dotyk oczami”, uśmiechy, gesty, w końcu rozmowa, tylko, a raczej, aż tyle. Spotkanie pierwsze: samolot relacji Sztokholm – Warszawa, uspokajający uśmiech Pawła podczas turbulencji. Spotkanie drugie: warszawska ulica, Paweł jest z Anią, Dominika nieco irracjonalnie zastanawia się, dlaczego on kogoś ma. Spotkanie trzecie: Paweł obserwuje Dominikę przez szybę restauracji. Spotkanie czwarte: unieruchomione przez awarię tramwaje, patrzenie sobie w oczy, „być może właśnie to czwarte spotkanie przesądziło o naszym losie. Trwało siedem minut i czterdzieści dwie sekundy” – mówi potem Dominika. I w końcu spotkanie piąte: dłuższa rozmowa, spacer, zostawiony (a potem zgubiony) numer telefonu. Te pięć „spotkań” spowodowało, że Paweł wsiadł w samolot i po całej Warszawie szukał kobiety, której nazwiska nigdy nie poznał, a z którą, był przekonany, chciał się zestarzeć.

Dominika dłużej broni się przed tą miłością. Z jednej strony, próbuje przed nią uciec (wyrzuca wizytówkę Pawła), z drugiej – zdaje sobie sprawę, że przed przeznaczeniem nie ma ucieczki. Porównuje się z Teresą z *Nieznośnej lekkości bytu* Milana Kundery, która potrzebuje spojrzenia ukochanego człowieka, by w ogóle istnieć. Dlatego takie wrażenie wywarły na niej te „spotkania” z Pawłem. Przypomina też sobie wiersz Wisławy Szymborskiej *Miłość od pierwszego wejrzenia* – wszystkimi bawi się przypadek, który zamienia się w los, który też jest przypadkiem.

Warto zwrócić jeszcze uwagę także na „bardziej skomplikowaną” formę powieści, jej polifoniczność. Historię bohaterów poznajemy aż z pięciu źródeł, a mianowicie z *Zapisków szwedzkich* mamy Pawła, z trzecioosobowej relacji oraz z monologów: Dominiki, Pawła i synka Dominiki – małego Kajtka. Różne punkty widzenia tych samych sytuacji nakładają się na siebie,

tworząc barwną opowieść o tęsknocie, losie, przypadku, przeznaczeniu, o momentach, o których Faust mówił „chwilo trwaj!”, a o których Tubylewicz pisze, że są w życiu takie momenty, w których każdy chce,

żeby akurat ta jedna, jak wiele innych, przelotna znajomość, przekształciła się w los, w realizację misternego planu, jak dobrze skomponowany utwór, jak pewność, że tak naprawdę nic nie jest przypadkiem, chociaż wszystko nim się wydaje (W, s. 17).

Od wydania tej pierwszej powieści Tubylewicz minęło dziewięć lat. W tym czasie autorka współpracowała między innymi z „Gazetą Wyborczą” czy „Krytyką Polityczną”, tłumaczyła ze szwedzkiego na polski powieści Majgull Axelsson i Jonasa Gardella, pracowała w Instytucie Polskim w Sztokholmie i prowadziła zajęcia na temat współczesnej Polski na Uniwersytecie Sztokholmskim. W końcu ukazała się jednak jej druga powieść – *Rówieśniczki* – i od razu wywołała burzę w środowisku krytyków literackich, dzieląc je na zwolenników i przeciwników powieści (warto zauważyć, że *Własne miejsca* przeszły właściwie bez echa). Opinie były różne, od recenzji niezwykle entuzjastycznych, między innymi Agnieszki Drotkiewicz, Anny Dziewit-Meller, Remigiusza Grzeli czy Agnieszki Graff, poprzez umiarkowanie pozytywne, jak na przykład Kingi Dunin czy wypowiedź Anny Kałuży w programie *Sztuka czytania*, aż do negatywnych, jak recenzja Bernadetty Darskiej. Dlaczego więc niektórzy porównują *Rówieśniczki* do najlepszych próz Joyce Carol Oates, Margaret Atwood i Zadie Smith, pisząc właśnie o idealnej prozie środka, która ma szansę odnowić polską prozę najnowszą, i o świetnie poprowadzonej fabule, inni zaś uważają, że w powieści jest

zbyt wiele schematów, przewidywalności i oczywistości, by uznać tę publikację za ważną z jakiegokolwiek powodu. Nie broni się ona ani sposobem portretowania emigracji, ani opisem społeczeństwa szwedzkiego, ani pomysłem na fabułę, ani postaciami odgrywającymi pierwszoplanowe role⁹.

Czy Tubylewicz rzeczywiście sięga, jeszcze bardziej niż w pierwszej powieści, tylko po wypracowane klisze i schematy, utrwalając liczne stereotypy, rysując przerysowane postacie i tworząc kuriozalne wypowiedzi i sytuacje, z których nic nie wynika?

Akcja drugiej powieści obejmuje tylko kilka letnich dni w Sztokholmie, ale historię dorastania głównych bohatererek poznajemy w licznych retrospekcjach. Bohaterki – tytułowe *Rówieśniczki* – mamy trzy. W Sztokholmie mieszkają Joanna i Zofia. Joanna jest żoną polskiego dyplomaty Krzysztofa – karierowicza i despoty, z którym nie potrafi już znaleźć wspólnego języka, dlatego wikła się w romans z Karimem, arabskim artystą, młodszym od siebie. Problem w tym, że Karim naprawdę się zakochuje, a dla Joanny jest to tylko czysty seks, miła odskocznia od pro-

⁹ B. Darska, *Szaleństwo przereklamowane?*, <http://bernadettadarska.blog.onet.pl/2014/04/25/siostrzenstwo-przereklamowane-k-tubylewicz-rowiesniczki/> (dostęp: 15.07.2014).

blemów małżeńskiego pożycia i dyplomatycznych gier w ambasadzie. Czasami wydaje jej się, że naprawdę go kocha albo może pokochać, innym zaś razem, że na miejscu mężczyzny mógłby być każdy inny, ale wybrała Karima także dlatego, że uosabia wszystko to, czego jej mąż-rasista nie znosi. Zofia z kolei – teraz już Sofia – po licznych upokorzeniach i porażkach została żoną bogatego Szweda Kjella, którego z wzajemnością bardzo kocha. Ich sielskie życie zakłócają tylko wspomnienia kobiety i trudne relacje z nastoletnimi córkami męża, ponieważ nie akceptują Polki w roli macochy. W Warszawie mieszka natomiast Sabina. Jest zastępczynią redaktor naczelnej katolickiego pisma „Nasza Misja”, żoną i matką dwójki dzieci. Gdy na skutek intryg koleżanki traci pracę i dowiaduje się także, że jej ukochany synek jest gejem, uporządkowany do tej pory świat rozsypuje się w pył. Kobieta, nie radząc sobie z nową rzeczywistością, w której się nagle znalazła, postanawia pojechać na kilka dni do Joanny, przyjaciółki z podstawówki, do Sztokholmu.

Każda z dawnych przyjaciółek jest inna. Więcej je dzieli niż łączy. Są – jak same mówią – jak trzy różne oblicza bogini Hekate, trzy oblicza, ale jedna osoba. Najbardziej odstaje właśnie Sabina. Jej katolicyzm, jej fanatyzm, jej prawicowość i jej moralność na pokaz nie przystają do życia, jakie wiodą koleżanki w tolerancyjnej Szwecji. Właściwie więzy łączące kobiety, to przyjaźń, która przyjaźnią staje się tylko czasami. Podszyta jest kłamstwami, wspólną tajemnicą o dziecięcym okrucieństwie i traumie zafundowanej Zofii przez przyjaciółki oraz przede wszystkim zazdrością. Mówi się, że przyjaźń damsko-męska jest raczej niemożliwa, bo zawsze któreś ze stron będzie zależeć na czymś więcej, że zawsze pojawi się seksualny podtekst. Ale równie rzadka jest czysta i bezinteresowna przyjaźń kobieca. Zawsze bowiem może pojawić się zazdrość – o wygląd, pieniądze, dziecko, mężczyznę i inne życie. Być może więc, jak kilkakrotnie czytamy w *Rówieśniczkach*, do dawnych przyjaźni i starych miłości rzeczywiście nie powinno się wracać na siłę.

W jednym z wywiadów Tubylewicz wyznała, że najbardziej interesują ją „pęknięcia w bliskich relacjach kobiet, te wszystkie tłumione, ciche agresje, które u dziewczynek przybierają nieco inną formę niż u chłopców, ale przecież wcale nie są przez to mniej destrukcyjne”¹⁰. Kobiety nieustannie porównują się ze sobą, rywalizują o wszystko, a przede wszystkim o – jakkolwiek dziewiętnastowiecznie to zabrzmie – „bycie wybraną” przez mężczyznę. „W dziewczyńskiej przyjaźni trójka to nie jest dobra liczba. Trójka oznacza, że trzeba zachować czujność i bronić własnej pozycji, bo któraś zawsze wyląduje poza orbitą. Dlatego nigdy nie opuszczała ich podskórna rywalizacja. Nigdy od niej nie odpoczywały”¹¹.

¹⁰ *Szwedzki z akcentem i bez*. Z K. Tubylewicz rozmawia A. Drotkiewicz, <http://www.dwutygodnik.com/artukul/5181-szwedzki-z-akcentem-i-bez.html> (dostęp: 14.08.2014).

¹¹ K. Tubylewicz, *Rówieśniczki*, Warszawa 2014, s. 41. Wszystkie cytaty na podstawie tego wydania, po skrócie R podaję numer strony.

Bohaterki *Rówieśniczek* kochają się i nienawidzą. Wspierają i wzajemnie upokarzają jednocześnie. Łączą je dziwne więzy, które wbrew pozorom na przestrzeni lat wcale nie pękają, a co najwyżej mocno się luzują. Sabina zarzuca Zofii odcięcie się od polskości i wygodne życie u boku bogatego Szweda, Joannie zaś – że zdradza męża, który daje jej przecież wszystko. Ma przy tym dla przyjaciółek zawsze jedną radę: gdybyś wiodła normalniejsze życie, gdybyś wyznawała odpowiednie wartości, gdybyś czasem zaszła do kościoła, to..., radzi Joannie. Sama jest natomiast przede wszystkim hipokrytką, co zresztą zarzucają jej kobiety. „Modli się pod figurą, a diabła ma za skórą” – aż chciałoby się powiedzieć, bezgranicznie ufa księdzu i katolickiej prasie, w której pracuje. O Smoleńsku, homoseksualistach, aborcji, pozamałżeńskim seksie etc. ma wyrobione zdanie, a raczej bezkrytycznie wierzy w słowo głoszone przez księdza. Obca jest jej miłość bliźniego i tolerancja, co nie przeszkadza jej jednak na przykład w tajemnicy brać pigułek antykoncepcyjnych. Nie tylko w tajemnicy przed mężem, ale po części i przed samą sobą, chowając pigułki pod podszewką torebki i nie spowiadając się z ich brania. Sabina woli poświęcić swoje relacje z synem i udawać, że w ogóle go nie miała, niż przyznać się do błędu, przyznać, że świat nie jest tylko czarno-biały, ale może mieć i inne odcienie tęczy.

Zagadnienie kobiecej przyjaźni jest niezwykle trudne, a relacje pomiędzy Sabiną, Joanną i Zofią pokazują, że od miłości do nienawiści droga jest bardzo krótka. Kobiety nieustannie walczą nie tylko z męskim światem, ze sobą nawzajem, ale i z samymi sobą. Dwie wygrywają. Zofia zostaje z mężem i naprawia relacje z pasierbicami. Joanna wyzwała się od Krzysztofa i zamieszkuje sama w Warszawie, nosząc dziecko Karima. Przegrywa tylko Sabina, ale przegrywa właśnie sama ze sobą. Początkowo wydaje się, że sztokholmska przygoda czegoś ją nauczyła, że zrozumiała własne błędy. Pogodziła się z córką i nawet zaprosiła partnera syna na obiad. Ale... Zawsze musi być jakieś ale. I tym razem znowu się pojawiło. Sabina na nowo stała się dawną sobą, zatwardziałą i pewną swych racji:

poczucie, że należy do grona wybranych, do tych, którzy mają wiarę, koilo i dawało poczucie niepodważalności własnych racji. Jednocześnie narastała w niej stymulowana kazaniem wrogość wobec otaczających ją zewsząd wynaturzeń, spisków i przejawów braku moralności (R, s. 329).

Rówieśniczki są zatem powieścią przede wszystkim o kobietach. O kobiecej przyjaźni, sile i walce o siebie. Mężczyźni są tu tylko tłem. Krzysztof Władza, Kjell, Jerzy, Zdzisław Kożuchowski, Igor Zaporajski, Karim – oni są czarno-biali. Albo przerażająco źli, albo zadziwiająco dobrzy. Krzysztof to nastawiony na sukcesy i szybką karierę, zdradzający żonę despota. Kjell za bardzo kocha Zofię i córki, by opowiedzieć się po którejś ze stron. Jerzy musi mieć anielską cierpliwość, skoro wytrzymuje z Sabiną. Kożuchowskiego określić można jednym słowem – gwałciciel. Igor za bardzo boi się życia i samego siebie, by móc zawalczyć o siebie w światku polskiej zepsutej

dyplomacji. Karim zaś czuje się jak zabawka w rękach kobiety, której nie rozumie, ale w której jest zakochany, mimo że ta nawet przyjaciółkom nie przyznaje się, kto jest jej kochankiem, opowiadając, że to typowy Szwed – blondyn o błękitnych oczach.

Tematyka i sposób prowadzenia fabuły są dowodem większej dojrzałości pisarki i ewolucji w podejściu do gatunku, przy czym Tubylewicz powieliła modne i utrwalone stereotypy. Polski katolik jest zatwardziałym prawicowcem, homofobem i rasistą. Szwecja jest tolerancyjna i przyjazna wszelkim dyskryminowanym. Polska ambasada w Sztokholmie ma wystrój jak z lat dziewięćdziesiątych, i jak z lat dziewięćdziesiątych są również pracujący w niej ludzie. Emigranci z jednej strony, tęskni za krajem, uparcie podkreślając swoją „polskość”, z drugiej zaś – nigdy w życiu do ojczyzny by nie wrócili i o kraju nie mają najlepszego zdania. Przykładowa rozmowa na przyjęciu w ambasadzie z okazji przyjazdu ministra Bromczyka najlepiej ilustruje ów polski zaścianek:

– Kiedy zmarł nasz papież, koleżanka z klasy mojej córki, bo córka chodziła wtedy jeszcze do szkoły, powiedziała, że to dobrze, bo kolejny papież dopuści prezerwatywy. Wyobraża sobie pani coś takiego? Po śmierci naszego papieża! Takie chamstwo?! [...]

– Bo Polacy to powinni robić tak jak muzułmanie! [...] Szwedzi boją się, że im beżowi coś podpalą albo nazwą ich rasistami, więc trzymają gębę na kłódkę. A o Polakach to wszystko teraz można powiedzieć. To jest dopiero rasizm! [...]

– A za jakie pieniądze ja haruję, proszę pani! Toż to żebracza pensja jest [...] Bo ci, co ucą muzułmanów, to z pewnością zarabiają lepiej od nas! [...]

– No oni mają katolików za nic, i tyle. [...]

– A nie zastanawiały się panie nigdy nad powrotem do Polski? Nie byłoby lepiej wyjechać ze Szwecji, skoro tak panie dręczy nostalgia [...].

– Do Polski?! Pani raczy sobie chyba żartować?

– No, ale jak to pani sobie wyobraża? A kto mi tam da emeryturę?

– A co ja będę w Polsce robiła? W tej biedzie, w tym zacofaniu?

– W Polsce to jeszcze trwa komunizm, droga pani, pani się wydaje, że tak nie jest, ale my to z naszej perspektywy dobrze rozumiemy. W Szwecji człowiek przywykł już do pewnych standardów.

– Pani tak mówi, bo nam pani zazdrości obywatelstwa szwedzkiego!

– Jak ktoś nie mieszkał na Zachodzie, to tego nie zrozumie!

– Ale co też pani opowiada... Wrócić do Polski?! Przecież my już same Szwedkami jesteśmy! Po tylu latach to my już jesteśmy Szwedki (R, s. 197–199).

Autorka bazuje zatem na stereotypach nie dlatego, że tak łatwiej i że książka lepiej się sprzeda, ale by pokazać pewną zależność, by pokazać Polaków portret własny. Pisarka wyznała niegdyś, że wśród jej pisarskich mistrzów jest i Stendhal, a ideałem jego przechadzające się po gościńcu zwierciadło. I z jednej strony, *Równieśniczki* również takim lustrem mogą być, lustrem, w którym przejrzeć się mogą wszystkie utrwalone schematy polskości w Polsce i polskości w wielkim świecie. Z drugiej zaś, taka gra z czytelnikiem może być zbyt łatwa, schlebająca tylko gustom masowego odbiorcy, Tubylewicz daje to, czego można oczekiwać, to, o czym się aktualnie mówi, i to, o czym ludzie chcą słuchać. *Równieśniczki* są przy tym także, „podobnie jak książki cenionej przez Katarzynę Tubylewicz Joyce

Carol Oates – tak zwanym *page turner*, lekturą wciągającą i przy całym wachlarzu trudnych tematów, bardzo zabawną¹².

Obie powieści pokazują środowisko emigracji. Tyle tylko, że – jak postuluje Justyna Sobolewska – pojawiła się właśnie grupa autorek, które na nowo definiują swoją tożsamość, inaczej widzą też przemiany tożsamości emigracyjnej, same siebie za emigrantki nie uważając, i to one właśnie mają także szansę odnowić polską literaturę emigracyjną¹³. Tubylewicz jest także sygnatariuszką (obok Anny Dziewit-Meller, Remigiusza Grzeli, Grażyny Plebanek i Joanny Laprus-Mikulskiej) słynnego już tekstu-apelu zatytułowanego *Alice Munro nie miałyby u nas szans*, opublikowanego na łamach „Gazety Wyborczej”.

gdyby Alice Munro była autorką rodzimą, polską, nie miałyby szans na przychylność polskich recenzentów. Pisze zbyt prostym językiem. Podobnie rzecz się ma z Zadie Smith, Joyce Carol Oates i Margaret Atwood. W Polsce ratuje je to, że nie tworzą w naszym ojczyntym języku i pochodzą z Zachodu, wobec którego nadal mamy kompleksy. Swoją drogą, jak zaszukadkować w typowo polskim stylu taką Zadie Smith? Wysoka to literatura czy „kobiecy pop”? Pytanie staje się trudniejsze, jeśli wziąć pod uwagę, że kilka spośród książek Smith to w warstwie konstrukcyjnej dość tradycyjne powieści, które w dodatku bywają bardzo zabawne i które pochłania się jednym tchem. Chciałoby się zatem zepchnąć kobitę w pop, ale jak to zrobić, skoro wykłada na Harvardzie? [...] Wiadomo, wszystkie pisarki, nawet sędziwe noblistki, to po prostu „girls” i piszą o jednym. Co innego wielcy i poważni autorzy poruszający niezwykle ważne tematy i wyrażający swoje myśli poprzez wyszukaną frazę. Podstawowym kryterium oceny każdej książki polskiego autora jest oryginalność i zawilność językowa, tak jakby wszystkie dzieła literackie powstawały po to, by udowodnić, że pisarz ma bogate i wyszukane słownictwo. Mniejsza o to, czy ma też coś do powiedzenia¹⁴

– czytamy w apelu. Jego autorzy domagają się nie tylko podjęcia przez krytykę literacką dialogu z literaturą popularną, ale także wyzbycia się przekonania, że literatura pisana przez kobiety jest z założenia gorsza, jak również i odnowienia prozy środka, której w Polsce od czasu *Prawieku...* wyraźnie – ich zdaniem – brakuje. Bez wątplenia zarówno *Własne miejsca*, jak i *Rówieśniczki* zapoczątkowały nie tylko odbitą już szerokim echem dyskusję o polskiej literaturze środka, ale stały się także tej literatury najciekawszym przykładem. Poza tym „być może właśnie rozkwit literatury środka, czyli takiej, która jest przystępna, ale zarazem ma ambicję poruszania istotnych tematów i poszukiwania odpowiedzi na ważne pytania, wpłynęłyby pozytywnie na beznadziejny dziś stan polskiego czytelnictwa”¹⁵.

¹² A. Drotkiewicz, [b.t.], <http://www.instytutksiazki.pl/ksiazka-tygodnia,aktualnosci-31084,rowiesniczki.html> [dostęp: 10.06.2014].

¹³ Zob. J. Sobolewska, *Cudzoziemki*, „Polityka” z 26.03.2014.

¹⁴ A. Dziewit-Meller, R. Grzela, G. Plebanek, K. Tubylewicz, J. Laprus-Mikulska, *Alice Munro nie miałyby u nas szans*, http://wyborcza.pl/magazyn/1,135761,15249022,Alice_Munro_nie_mialaby_u_nas_szans.html [dostęp: 10.01.2014].

¹⁵ Tamże.

On the prose of Katarzyna Tubylewicz

Summary

The paper entitled 'The prose of Katarzyna Tubylewicz' is dedicated to the co-authoress of the anthology of the short stories *Jestem mamą – zbiór prawdziwych historii o macierzyństwie*, and the authoress of two novels: *Własne miejsca* (2005) and *Rówieśniczki* (2014), who some critics would like to see as the reviver of the so-called *prose of the centre*. The authoress of the article analyses the above-mentioned novels referring to – among other things – a discussion which took place in 'Gazeta Wyborcza', and which had been initiated by the famous manifesto entitled 'Alice Munro would not stand a chance here'. Its authors demand that the literary critics should enter into a dialogue with popular literature and dispose of the misconception that literature written by women is worse. They are also for the revival of *the prose of the centre*, which – in their opinion – since Tokarczuk's *Prawiek i inne czasy* has been missing.

Key words:

the prose of the centre, motherhood, taboo, popular literature

Słowa kluczowe:

proza środka, macierzyństwo, tabu, literatura popularna